

Wystawa psów rasowych, w hali, niestety.

Ruszyliśmy w południe w piątek, mając nadzieję, że największy ruch wyjazdowy z Warszawy będzie po południu. Nic bardziej błędnego. Zakorkowaliśmy się już kilka kilometrów od domu na drodze Rembertów – Zegrze, do drogi na Białystok dotarliśmy o 14-tej i jechaliśmy przez Marki w największym tłoku. To samo w Białymstoku, skąd pojechaliśmy w kierunku Augustowa. Dopiero stamtąd w kierunku Suwałk trochę się rozluźniło, ale była już 17-ta. Granica z Litwą – 20-ta.

Pierwszy raz w życiu pojechałem na Litwę, ale przecież to Europa, będzie jak w Austrii czy Włoszech. Zonk! (jeśli jeszcze pamiętacie „Idź na całość !”). Po pierwsze – strach przed tamtejszą policją drogową, która podobno lubi „czesać” polskich kierowców jak nikogo innego na świecie. Kierowany polsko-ułańską fantazją jechałem 71 km/h tam gdzie znaki pokazywały 70. Z poprzednich wypraw do Chorwacji lub Włoch zostało mi w pamięci stwierdzenie koleżanek Beaty, które pytały ją, kto prowadzi pojazd i gdy słyszały, że ja, mówiły „O, jak przykro, pewnie będziecie późno”. Faktycznie, do Wilna dojechaliśmy po 22.00.

Ponieważ Beata już tu była, zarezerwowała nam hotel, a ja nie pytałem gdzie on jest. Dla porównania powiem, że hotel był, mniej więcej, w bramie głównej Zamku Królewskiego w Warszawie. Jest to główna ulica starówki wileńskiej, takie Krakowskie Przedmieście. Szczerze mówiąc miałem poważne opory przed wtargnięciem do hotelu z dwoma zaślinionymi dogami, więc chytrze udałem się do recepcji sam, wspominając tylko o dwóch psach, które zaraz przyjdą. Zaskoczyło mnie, że rozmawiamy w recepcji po angielsku, zawsze myślałem, że Litwa to kraj słowiański, a okazuje się, że to kraj bałtycki, który ma tyle wspólnego ze Słowianami, co Kaszubi. Ale, z racji mojego wieku, mówcie mi „Borys Godunow”, nie poszły na marne nauki języka rosyjskiego, które w czasach, kiedy chodziłem do liceum, były obowiązkowe. Litwini chyba tego nie lubią, ale wszyscy powyżej czterdziestego roku życia mówią po rosyjsku.

Problem w tym, że rozmawiałem z dwudziestokilkuletnią panienką, dla której „matuszka Rossija” i Unia Polsko – Litewska to raczej smutny epizod. Ważne, że był pokój i panna spodziewała się psów. Co więcej, w pokoju był pełny mini-barek, nie radzę jednak z niego korzystać – boli przy rachunku. Ja, oczywiście, nie sprawdziłem cen trunków i bardzo szybko go opróżniłem.

Dzień pierwszy

Pojechaliśmy rano na wystawę, która jest stosunkowo blisko hotelu. Początkowo wszystko wyglądało wspaniale: duży parking, wielkie hale, więc wydawało się, że będzie inaczej niż w Zagrzebiu w 2007 roku. Pupa, pupa i jeszcze raz pupa. Beata poszła wcześniej i rozłożyła przy ringu posłanie dla naszych psów (startowała tylko Asia, ale dla towarzystwa wzięliśmy jej mamusię – Stefanę), spodziewaliśmy się, więc, że jak wejdziemy na wystawę, będziemy mieli kawałek przestrzeni dla siebie. Kiedy weszliśmy z psami był już tłok (na bramce stemplowali prawo wstępu na rękę – jak we Władysławowie w dyskotecce) a gdy doszliśmy na miejsce okazało się, że nasze posłanie zostało niedelikatnie odsunięte w kąt, a na naszym miejscu stoją Litwini z Welsh Corgi. Próbowałem, w pierwszym odruchu, zwrócić uwagę, że tu było nasze miejsce, ale Litwin wyciągnął do mnie na powitanie rękę. Nie pytajcie, co chciałem mu pokazać w odpowiedzi. Potem okazało się, że w hali panuje tak beznadziejny tłok, że walka o miejsce jest bezsensowna i nijak się ma do naszego średniowieczno–renesansowego braterstwa. W końcu jednak śmiechom i zabawom nie było końca, zwłaszcza, że ich suka coś wygrała. Stwierdzam jednak, że wystawy w hali, na których do tej pory byłem, poza wystawą w Poznaniu, są nieporozumieniem ze względu na brak miejsca. Wystawcy jeszcze sobie jakoś radzą, ale nikt nie wytłumaczy gościom (kibicom), że ogon to też jest część psa i nie jest wskazane chodzić po nim. Psy się denerwują, szukają swoich właścicieli, właściciele psów i jest jak na Kercelaku, (jeśli wiecie, co to było).

Ważne: na wystawie było smutno. Nie wiem czy spowodował to brak Włochów, którzy robią z wystawy jarmark, (co nie jest cechą negatywną wystaw, jak pisałem w artykule o wystawie w Tenuta del'Boscone) czy narodowy smutek Litwinów. Może się czepiam, ale w naszym hotelu, położonym w tak uczęszczanym miejscu, nie było słycać żadnych nocnych wrzasków, które

są tak charakterystyczne dla większości miast europejskich (nawet w Austrii, smutnej jak p..., czego byłem świadkiem w 2006 roku). Wszyscy miejscowi są smutni (a może tylko cisi) a psia kupa na ulicy to dla nich przeżycie mistyczne. Nie potrafię jednoznacznie powiedzieć, czy tak jest w rzeczywistości, ale takie było moje wrażenie. Cicho, smutno, szaro, brakowało tylko butów typu „Podhale” (informacja dla urodzonych przed 1975).

Po pierwszej wystawie udaliśmy się do restauracji niedaleko hotelu w celu wprowadzenia słynnych „zeppelinów” - wielkich pyz z nadzieniem mięsny. Niestety, prawdopodobnie jakiś dietetyk dostał się do zarządu restauracji i podano nam zeppeliny nadziewane indykiem. Ja wiem, zdrowa żywność itp., ale indykiem w twarz, gdy spodziewamy się tłustej świni? Z tej złości znowu opróżniłem barek w pokoju. Kiedy poprosiłem o uzupełnienie, pani w recepcji zlitowała się nade mną i wskazała mi witrynę sklepu spożywczego po drugiej stronie ulicy. Piwo było w polskiej cenie, więc oddaliłem się w mistyczno-nostalgiczny stan rodem z prozy Pilcha. Zanim jednak „wpląnąłem na piwnego przestwór oceanu” wykonaliśmy spacer po starówce, który upewnił mnie o nieustającym smutku tego miasta. W jednej z restauracji było kompletnie pusto! Wykonaliśmy również sesję zdjęciową pod słynnym kościołem – na zdjęciach mamy Asię z oczami świecącymi na czerwono i Stefanę „od dupy strony”.

Dzień drugi.

Drugi dzień na wystawie był równie smutny jak pierwszy. Nasza Asia wygrała (ponownie), ale ogólnie smutna atmosfera wystawy nie dała mi satysfakcji. Może powinienem skorzystać z barku na terenie wystawy, w którym oprócz kawy można było się nieźle nawalić. Stwierdzam jedno: nawet psy wystawiane przez Litwinów są smutne; jeden z wystawców miał piękne psy (w kilku klasach), ale wyraźnie było widać, że boją się właściciela i nie chciały prezentować się na ringu. Być może to tylko przypadek, jak wspominałem był to mój pierwszy wyjazd na Litwę (jak to wielkopańsko brzmi „na Litwę”, jak „na wieś”), mam jednak nieodparte wrażenie, że nie było na tej wystawie tak entuzjastycznie jak na wystawach w Polsce.

Dość narzekania. Po drodze, jak zwykle zrobiliśmy zakupy w litewskim supermarkecie. Kupiliśmy dziwne przysmaki litewskie, jak, na przykład, suszone kalmary – rzecz w ogóle chyba nieznaną w Polsce, po zjedzeniu uważam, że słusznie – czy suszoną wołowinę, tę polecam. I właśnie w tym sklepie, na litewskiej wsi, porozumiewałem się z kasjerką po rosyjsku. Ponieważ z zasady nie jeżdżę do Rosji, myślałem, że 4 lata w podstawówce i 4 w ogólniaku poszły na marne a tu „wot, kakaja siurpryza”.

Droga powrotna była dla mnie niczym „W poszukiwaniu straconego czasu”. Przejechaliśmy przez skrzyżowanie z drogowskazem „Serwy” gdzie 40 lat temu z rodzicami biwakowałem kilkakrotnie nad jeziorem o tej samej nazwie, potem była Przewież ze śluzą między jeziorami Białym i Studzienicznym, w której byliśmy na wczasach (również w tym samym okresie, stałem się wtedy znany w miejscowym sklepie spożywczym z tego, że zjadałem masło łyżką, siedziałem również na motocyklu miejscowych leśniczych – mógł to być „Sokół” albo „Junak”). Na koniec przejechaliśmy przez miejscowość Białobrzegi, w której w restauracji „Turystyczna” wypłem pierwsze w swoim życiu piwo z kufła (4 zł za kufel, ziemniaki z karguleną – niektórzy nie wiedzą, co to w ogóle jest - za 7 zł), wstyd powiedzieć, w jakim wieku. Wydaje mi się, że nie ma już budynku, w którym ta restauracja była.

Tyle o Wilnie.

Ponieważ piszę kilka miesięcy po fakcie, pozwolę sobie na osobisty suplement: Przykro mi, że nie udało się nam ciebie uratować, Italiano. Czekać na nas, a tymczasem pytaj o Bukę i Franka.

30.01.2010.

Podróżnik (nieoficjalnie: Stary Piernik)